



Teodor Sroczyński (1910-1939)

Inżynier TEODOR SROCZYŃSKI

(1910-1939)



ój Tato, Teodor Sroczyński, był ostatnim adiunktem w Nadleśnictwie Klosnowo przed wybuchem II wojny światowej. W Klosnowie spędził ostatni okres swojego krótkiego życia, stąd wyruszył na front i nigdy już do świata żywych nie wrócił...

Nie pamiętam mojego Taty. Miałam 15 miesięcy, gdy po raz ostatni trzymał mnie w ramionach. Obecnie jestem najstarsza w rodzinie, nie ma nikogo z poprzedniego pokolenia z kim mogłabym skonsultować moje wiadomości o Tacie. Informacje o jego edukacji i pracy mogę czerpać tylko z dokumentów.

EDUKACJA

Urodził się 12 stycznia 1910 roku w miejscowości Kretków, pow. Jarocin jako drugie dziecko Wacława Sroczyńskiego (administratora majątku) i Praksedy z d. Majerowicz. Miał troje rodzeństwa: starszego brata Mariana i dwie młodsze siostry – Krystynę i Irenę. Obowiązkową naukę szkolną odbył w Szkole Powszechnej w miejscowości Lgów, pow. Jarocin, leżącej blisko Śmiełowa, którym jego ojciec wówczas zarządzał. Następny etap edukacji mojego Taty to lata spędzone w Jarocinie, w państwowym ośmioklasowym gimnazjum klasycznym, gdzie w roku 1929 zdał maturę. W tych latach zwiększała się liczba kilometrów dzielących go od domu rodzinnego. Jego ojciec w poszukiwaniu satysfakcjonującego miejsca pracy na krótko przeniósł się do powiatu średzkiego, do miejscowości Płaczki (tu zmarła 9-letnia córka Krystyna), następnie pod Poznań do majątku Swadzim. W połowie 1925 roku zaczął administrować majątkiem Sielec, pow. Żnin, należącym do admirała Józefa Unruga i pełnił tę funkcję przez następnych 15 lat. To tu mój Tato spędzał swoje gimnazjalne i studenckie wakacje. Jeszcze wiele lat po wojnie zachowała się w okolicy pamięć o rodzinie. Na cmentarzu parafialnym w Juncewie, przy grobie Dziadków, zagadywani byliśmy niejednokrotnie czy jesteśmy spokrewnieni z tym dawnym dyrektorem z Sielca. Za serce chwytały wspominki nawet z okresu, gdy mój Tato i jego brat byli młodzieńcami. Mówiono nam: *Pan Marian uczył się na nauczyciela, a pan Tochu to był myśliwy!*

Tak, mój Tato był myśliwym. W wieku trzynastu lat w prezencie od stryja dostał fuzję i torbę myśliwską. Prezent był obłożony pewnym, nie zawsze prostym do spełnienia warunkiem. Co roku, na Boże Narodzenie, stryj miał otrzymać zająca ważącego pięć kilogramów. Tato sumiennie, każdego roku, paczkę wysyłał. Ostatnią w grudniu 1938 z Klosnowa. Zając nie zawsze miał wymaganą wagę, stryj kwitował to jednym zdaniem na kartce pocztowej: *Zając nie wg umowy.*



Gimnazjalista
Teodor Sroczyński
(z prawej)
z matką Praksedą
Sroczyńską z domu
Majerowicz oraz
bratem Marianem
i siostrą Ireną.
Majątek Sielec,
rok 1927

Po maturze, zdanej w Jarocinie w 1929 roku, podjął studia na Uniwersytecie Poznańskim na Wydziale Rolniczo-Leśnym. Ukończył je w 1933 roku. Był aktywnym uczestnikiem życia studenckiego. Należał m.in. do grupy założycielskiej Korporacji Studenckiej „Demetria”. W trakcie dwóch ostatnich lat pracował nad swoją doświadczałą pracą dyplomową, wykonywaną pod kierunkiem prof. dr. Ryszarda Biehlera w Zakładzie Hodowli Lasu Uniwersytetu Poznańskiego, na temat „Wpływ nawożenia na rozwój siewek sosnowych”.

Do końca sierpnia 1933 roku odbył trwającą pięć miesięcy praktykę w Doświadczałnej Szkółce Leśnej Zakładu Hodowli Lasu Uniwersytetu Poznańskiego, gdzie zapoznał się z całokształtem wszelkich prac szkółkarskich.

Od 20 września 1933 roku zaczyna obowiązkową służbę wojskową. Przydzielony do 34 pp Do CKM. Kończy dywizyjny kurs podchorążych rezerwy w 22 pp w Siedlcach, a 17 września 1934 roku zostaje przeniesiony do rezerwy.

LEŚNIK I ŻOŁNIERZ

Rok 1935 obfituje w ważne w życiu Taty wydarzenia. W marcu rozpoczyna sześciomiesięczną praktykę administracyjno-gospodarczą w Nadleśnictwie Państwowym Durowo, pow. Wągrowiec, której część odbywa w Leśnictwie Dębina. 16 maja 1935 roku zdaje z wynikiem bardzo dobrym egzamin dyplomowy na Uniwersytecie Poznańskim, uzyskując stopień inżyniera leśnictwa. 29 sierpnia 1935 roku w Poznaniu bierze ślub cywilny z dwa lata starszą od siebie Ireną Turkowską, córką Stanisława Turkowskiego i Magdaleny z domu Skorupskiej. Ślub kościelny odbył się 8 września 1935 roku w kościele parafialnym w Junczewie.

Od listopada 1935 roku ma podpisaną umowę z Dyrekcją Lasów Państwowych w Poznaniu na pracownika kontraktowego pełniącego obowiązki brakarza w Nadleśnictwie Grabowo (stacja kolejowa Miasteczko n. Notecią), z wynagrodzeniem miesięcznym 200 zł.

W pierwszej połowie roku 1936 dwukrotnie odbywa trwające po 41 dni ćwiczenia wojskowe w 34 pp: manewry zimowe 12.01-21.02.1936 roku i manewry letnie 11.05.-20.06.1936 roku. W lipcu 1936 roku jest już w Nadleśnictwie Mirachowo, pow. Kartusy. Pracuje początkowo jako pracownik sezonowy na umowach przedłużanych co trzy miesiące. 1 stycznia 1937 roku jest mianowany na podporucznika rezerwy i otrzymuje Patent Oficerski Nr 830/1937.

Od końca kwietnia 1937 roku ma już stałą umowę o pracę jako praktykant techniczno-leśny z uposażeniem wg 10 grupy. Ponadto w dniach 22-24 marca 1938 roku zdał ważny egzamin państwowy uprawniający go do obejmowania stanowisk I kategorii służby techniczno-leśnej w Administracji Lasów Państwowych. Wspomniana, stała umowa umożliwiła rodzicom tworzenie jakiejś stabilizacji na Pomorzu i likwidację poznańskiego adresu. Mieszkanie służbowe Taty w Mirachowie mieściło się w ładnym domu byłego probostwa ewangelickiego. Rodzice zaczęli to mieszkanie urządzać. Meble zamawiali w firmie – Stolarska Mebli i Budowli Józef Kolka, Mistrz Stolarski, Kartusy (Pomorze), Wzgórze Wolności. Zachowało się dziewięć pokwitowań wpłat *Od pana Inż. Sroczyńskiego z Mirachowa* z datami od lutego do listopada 1938 roku. Zakupili komplet mebli do jadalni robionych według pomysłu i rysunków mojej Mamy, komplet mebli do sypialni oraz szafę (również zaprojektowaną przez Mamę) mającą uzupełnić wyposażenie do trzeciego pokoju, pełniącego rolę pokoju do pracy, a w razie potrzeby pokoju gościnnego. Okres intensywnego wyposażania mieszkania zbiegł się z oczekiwaniem na moje urodzenie. Nie urodziłam się na Pomorzu. Moja trzydziestoletnia wówczas Mama wolała odbyć pierwszy poród pod opieką lekarza, którego była pacjentką, w klinice położniczej w Poznaniu. Tam urodziłam się 3 czerwca 1938 roku.

KŁOSNOWO

Prawdopodobnie już w grudniu 1938 roku Tato pracował w Nadleśnictwie Klosnowo na stanowisku adiunkta. Jego mieszkaniem służbowym była połowa



Inżynier Teodor Sroczyński z żoną Ireną z d. Turkowską. Poznań, rok 1935



Przed domem w Klosnowie. Od lewej: Teodor Sroczyński, jego matka Prakseda, żona Irena i córka Krystyna, rok 1939

Małżonkowie Teodor i Irena Sroczyńscy z córką Krystyną w Klosnowie, marzec 1939 r.



domu bliźniaczego przy drodze do miejscowej wyłuszczeni nasion. Tu zaczęłam stawiać pierwsze w moim życiu kroki, by wkrótce, w doskonałej komitywie z dwoma psami Taty, ganiać po całym obejściu i penetrować każdy zakamarek.

Rodzice nie trzymali żadnego inwentarza, więc mogli swobodnie upiększać otoczenie domu. Na podwórzu powstał trawnik z dużym klombem, na ścianę budynku gospodarczego puszczone jakieś szybko rosnące pnącze. (...) *Dzisiejszej nocy kret pokieroszował klomb (trawniki) i chmieie pod ścianą (...). Tagetes jaki miałem w skrzynce wyflancowałem naokoło klombu* – pisał Tato w liście do Mamy, gdy w czerwcu 1939 roku pojechała pokazać rodzinie swoją roczną córeczkę. Od 1 października 1939 roku miał objąć stanowisko nadleśniczego w Nadleśnictwie Wejherowo. Wybuch II wojny światowej sprawił, że jego droga zawodowa zakończyła się w Klosnowie.

Atmosfera ostatnich dni sierpnia pełna była niepewności. Wyjazd do Chojnic, gdzie Tato miał załatwić służbową sprawę i brak możliwości załatwienia czegośkolwiek z powodu ewakuacji urzędów oraz widok ludności cywilnej obciążonej bagażem usiłującej opuścić miasto, wprowadził go w stan dużego zaniepokojenia. Podjął decyzję o konieczności jak najszybszego wyjazdu Mamy do jego rodziców do Sielca. Do nadleśnictwa nie dotarły jeszcze środki na tzw. pensje ewakuacyjne stanowiące trzykrotność poborów. Mama opuszczała Klosnowo bez tego zabezpieczenia. Na stacji Powałki, w niedzielę 27 sierpnia 1939 roku, Rodzice widzieli się ostatni raz w życiu.

Mam dylematz ustaleniem, kiedy Tato wyruszył z Klosnowa. Leżą przede mną dwa sprzeczne ze sobą dokumenty: pokwitowanie z kasy Nadleśnictwa Klosnowo z datą 29.08.1939, na wypłatę awansem 50 zł, z podpisem mojego Taty, że taką kwotę otrzymał oraz list Taty z Grudziądza mający tę samą datę. Oto ostatnie słowa pisane przez mego Tatę, które zdążyły dotrzeć do Sielca.

Grudziądz, 29/VIII.39

Kochana Irko!

Dziś w nocy opuściłem Klosnowo i rano byłem w Grudziądzu. Teraz o 2-giej jadę dalej zgodnie z moim powołaniem dokąd, to wiesz. Później napiszę. Tymczasowy mój adres to Grudziądz 64 pp. Jeżeli nie ma nic ważnego to nie pisz prędzej zanim nie odbierzesz następnego listu. Dom został pod opieką Janiny i p. sekretarza. Bardzo jestem rad, że wyjechaliście w niedzielę. Razem ze mną wyjechał Kalinowski. W chwili mego wyjazdu była jeszcze tylko p. Kalinowska. W poniedziałek wieczorem wyjechały p. sekretarzowa i Litwincowa. Spodziewam się, że dojechaliście szczęśliwie. Moim odczuciem, że Sielca nie ruszajcie się prędzej aniżeli nadejdzie zarządzenie ewakuacyjne. Całuję rączki kochanej Babuli, jak również Rodzicom, a Kryskę i Marycha ściskam mocno.

Tochu.

TUŁACZKA

Kilka spokojnych dni w Sielcu, w trakcie których Mama zorientowała się, że jest w następnej ciąży, zostało raptownie zakończonych wczesnym rankiem 6 września. Oficer Wojska Polskiego nakazał administratorowi majątku, mojemu dziadkowi, natychmiastową ewakuację wsi. Do godziny 9. we wsi nie miało nikogo być.

Zaczęła się tułaczka bez konkretnego celu. Obszerną bryczką, w której jechała babcia, Mama ze mną i siostra Taty, powoził dziadek. Przemieszczając się od noclegu do noclegu, bocznymi drogami bezpiecznie dotarliśmy do województwa warszawskiego. Tam od uciekinierów zdążających w odwrotnym kierunku usłyszeliśmy: *Ani kroku dalej! Dalej jest piekło!* Dziadek zawrócił konie, zjechał do najbliższej wioski, gdzie pozostaliśmy, aż do dnia kapitulacji. Deszczowe dni powrotu do Sielca miały w przygnębiającym poczuciu klęski potęgowanym widokiem rozsianych po polach prymitywnych krzyży na świeżych mogiłach.

Parę dni po dotarciu do Sielca, Mama udała się do Klosnowa. Mogę sądzić, że jednym z celów tej podróży było sprawdzenie możliwości odzyskania zasiłku ewakuacyjnego. Niestety osoba kompetentna w tej sprawie nie wróciła jeszcze z ucieczki. A jak wyglądało mieszkanie? Zasłane słomą podłogi, meble ogołoczone z całej użytecznej zawartości. Książki, zdjęcia, dokumenty i obrazy przetrwały nieruszone. Przy kompoście za budynkiem gospodarczym leżały dwa szczeniaki od suczki Figi, ulubionego psa Taty. Jeden był martwy, drugi dokonał swego psiego żywota na rękach Mamy. Efektem wizyty w Klosnowie było zabranie wszystkich przedwojennych „papierów”, zdjęć i paru pamiątkowych książek, które do tej pory są u mnie.

POBYT W SIELCU

W połowie października 1939 roku zarząd nad Sielcem i kilkoma sąsiednimi majątkami przejął Niemiec. Zostawił dziadka jeszcze przez jakiś czas na poprzednim stanowisku. Mama podjęła pracę sekretarki. Od mojego Taty nie było żadnych wiadomości. Od jego brata Mariana, który jako plutonowy podchorąży walczył na froncie w 205 pp, nadchodziły mocno niepokojące listy. Leżał w szpitalu ortopedycznym we Lwowie. Pocisk rozszarpał mu prawe udo, powodując skomplikowane złamanie kości udowej oraz uszkodzenie lewej dłoni (do końca życia pozostał inwalidą z dużym stopniem kalectwa).

Oprócz troski o los obu synów, dla dziadków bieżącym problemem w marcu 1940 roku była konieczność opuszczenia na zawsze Sielca. Właścicielka folwarku Cegielnia (należącego administracyjnie do wsi Juncewo) udostępniła naszej rodzinie część swojego mieszkania.

W takich okolicznościach 9 maja 1940 roku, w pobliskim Damasławku, w mieszkaniu tamtejszej akuszerki, urodził się mój brat Błażej Teodor Grzegorz. Gdy miał pięć miesięcy, Mama zrealizowała swoje wcześniej podjęte postanowienie

opuszczenia Wielkopolski. Z pisma niemieckiego nadleśniczego Nadleśnictwa Klosnowo wiedziała, że wrócić do przedwojennego mieszkania nie może, że całe wyposażenie z tego mieszkania zostało upaństwowione (niem. verstaatlicht), że na żadne zatrudnienie nie ma szansy. Na podstawie tego pisma, szef Prezydium Policji niemieckiej w Żninie wystawił Mamie przepustkę na wyjazd z dziećmi do Generalnej Guberni.

W KRAKOWIE

Opuściliśmy Cegielnię 12 października 1940 roku. Jechaliśmy do Krakowa, gdzie schronienia udzieliła nam siostra Mamy, która z mężem i schorowanym teściem (uciekiniery ze Lwowa) zajmowali tylko jeden pokój w mocno przeludnionym mieszkaniu. Mama natychmiast zaczęła energiczne poszukiwanie pracy i jakiegoś lokum. Zamieszkała w gospodarstwie na skraju Krakowa, u ludzi którzy podjęli się również opieki nad dziećmi. Intensywne poszukiwanie pracy trwało jeszcze kilka dni, pełnych coraz większego niepokoju. Do dziś brzmią mi w uszach jej słowa, że życie w Krakowie, na progu zimy, zaczęła od sprzedaży całej swojej odzieży zimowej łącznie z płaszczem i obuwem. Zaangażowana została w charakterze buchalterki i stenotypistki, w dyrekcji firmy „Osram”, w której później pracowała aż do likwidacji firmy w końcu sierpnia 1944 roku. Wkrótce udało się również zamieszkać tuż obok firmy, w klasztorze Sióstr Felicjanek przy ul. Kopernika 2. W części frontowej budynku Siostry wynajmowały pokoje. Z ich polecenia zaangażowała Mama zaufaną osobę do opieki nad dziećmi. Rośliśmy z bratem w bezpiecznym, spokojnym domu, nie wiedząc nic o trudnościach z jakimi każdego dnia borykała się nasza Mama.

To pod tym adresem odnalazł Mamę nieznaný człowiek z pierwszymi i jedynymi, aż do końca wojny, wiadomościami o Tacie. Było niedzielne popołudnie (koniec 1941 roku?), ktoś dzwoni do drzwi i pyta czy zastał inż. Sroczyńskiego. Kompletnie zaskoczenie. Mama powiedziała krótko, że nie zastał. On nadal się dopytywał, o której godzinie Tato wróci do domu, kiedy najdogodniej można go zastać. Gdy usłyszał, że od końca sierpnia 1939 roku Mama nic o mężu nie wie, oświadczył, że razem z Tatą był na froncie. Do końca rozmowy nie przedstawił się, ani nie zdradził, skąd uzyskał Mamy adres. Opowiadał, że w Radomiu, w jednostce, do której ich przydzielono nie było dla nich ani umundurowania, ani uzbrojenia, że Tato na swoją legitymację służbową załatwił nocleg dla siebie, dla niego i kogoś trzeciego w Domu Leśnika w Radomiu. Dopiero 4 września oddział ich został na tyle wyposażony, że gotowy był do przetrzucenia w rejon walk. Urząd Pocztowy już nie działał, Tato karton ze swoimi cywilnymi rzeczami zaniósł do radomskiej leśniczówki. 6 września toczyli długotrwałą bitwę do momentu, aż poszły na nich niemieckie czołgi. Zostali kompletnie rozbici. Niemcy zabierali niedobitków do niewoli. Pytania o los Taty, co się z nim stało, ewentualnie czy

wie, gdzie obecnie przebywa, kwitował odpowiedzią: *Tego się pani dowie, gdy się wojna skończy.*

NASZ TATUŚ JEST BOHATEREM!

Wiele lat po wojnie, w książce Jana Wróblewskiego „Armia Prusy 1939”, wydanej w 1986 roku, potwierdziła się prawdziwość relacji tego pana. Na s. 95, w meldunku do sztabu z 3 września złożonym o godz. 20, można przeczytać: *Pułk zbiorczy 16 dywizji piechoty a' 3 baony (...) zupełnie bez broni – zarekwirowałem ją w fabryce broni i obecnie wydaje się ją na ludzi. Dalej: Pułk zbiorczy 16 DP wyruszył dopiero 4 września z powodu braków w umundurowaniu i oporządzeniu. 6 września (s. 186.): z pułku 16 DP walczyły dwa bataliony. Po reorganizacji (...) sformowano z nich tylko jeden.*

Na pewno człowiek, który zjawił się u Mamy w Krakowie, był świadkiem tych wydarzeń i należał do grona osób, które ostatnie widziały mojego Tatę żywego. Spodziewał się zapewne zobaczyć kobietę z jednym dzieckiem, a zobaczył również drugie dziecko, małego synka, o którym Tato nie wiedział. Czy miał coś więcej do opowiedzenia?



Irena Sroczyńska
z dziećmi, Błażejem
i Krystyną.
Kraków, 1943 r.

Bezpośrednim skutkiem tej wizyty było odzyskanie z Radomia paczki z cywilnym ubraniem Taty, wełnianym pledem i drobiazgami, z którymi wyruszył z Klosnowa. Byłam zbyt mała, by coś z tego rozumieć. Z biegiem czasu utrwaliło się jednak w mojej świadomości, że granatowy pled, po którym kulamy się z braciszkiem, miał przy sobie nasz Tatuś, gdy jechał na wojnę. To zasługa naszej Mamy. Potrafiła zawsze tego Tatę zaszczepiać w naszej dziecięcych umysłach i sercach. Wpoila nam, że jesteśmy Polakami, że naszym krajem jest Polska, Tatuś i inni żołnierze poszli na wojnę bronić Polski przed Niemcami. Nasz Tatuś jest bohaterem!

Sportowe ubranie Taty – zielona marynarka i popielate spodnie typu pompki – w nienaruszonym stanie dotrwało końca wojny. Spełniło swoją rolę w późniejszym czasie. Najpierw zostało przerobione na damski kostium, z którego po maksymalnym wyeksploatowaniu przez Mamusię, powstało ubranko dla mojego, dziesięcioletniego wówczas brata. Jego pierwszemu wyjściu w tym ubranku Mamusia nadała nastrój wręcz uroczystego wydarzenia. Ma na sobie coś, co nosił Tatuś!

Niemcy zabrali siostram Felicjankom budynki przy ul. Kopernika. Przeprowadziliśmy się do oficyny budynku, w którym mieścił się „Osram”. Mama starała się, by dzieci nie wzrastały w atmosferze zastraszenia, jakie niesła okupacyjna codzienność. Życie jednak samo tę wiedzę dawało. Do dziś, gdy znajdę się w Krakowie w pobliżu Starego Rynku mam w oczach widok uciekających, przerażonych ludzi wołających: *Na Sławkowskiej łapanka!*

Okupacja dobiegała końca. Pamiętam tę euforię. Coraz bliższa kanonada, powietrze trzęsło się od wybuchów, a ludzie rozradowani. Nasza Mamusia szczęśliwa. Niemcy uciekają z Polski! W obawie, że lada moment wylecą szyby, Mama zrobiła legowisko w korytarzu i tam ułożyła nas do snu. Zaopatrzona w świece i zapalniczki czuwała. Obudził mnie potworny huk, wstrząs i brzęk tłuczonego szkła, zupełna ciemność i pełno piasku w ustach. Mamusia zapaliła świecę. W powietrzu tak dużo pyłu, że prawie nie było Jej widać. Ale była!!! Mój przerażony braciszek siadł na posłaniu i rozpaczliwie zawołał: *Mamusiu, czy to już jest wojna? Nie. Śpij spokojnie, jak będzie wojna, to cię obudzę* – odpowiedziała łagodnym, opanowanym głosem. Do dziś ją za to podziwiam.

DRUGI RAZ KLOSNOWO

Z Krakowem żegnaliśmy się w czerwcu 1945 roku. Nastał piękny czas pobytu Klosnowie. Mama podjęła tu pracę 1 lipca 1945 roku w charakterze sekretarza, w Wyłuszczeni Nasion. Po latach okupacji w Krakowie, mieszkania w jednym, parterowym pokoju z oknami na podwórze, po anonimowości w tłumie miasta, Klosnowo siedmiolatce jawiło się jak jakieś miejsce z bajki. Nagle do dyspozycji dom z piętrem i kuchnią! I własne podwórko, i ogród, i tutejsi ludzie wszyscy znający moją Mamusię. A dom jak z obrazków w książkach z bajkami – czerwony dach i we wszystkich oknach zielone okiennice, dwuskrzydłowe, w każdym

skrzydle wycięte serduszko. Przez te serduszka rano wpadało światło do sypialni. Do pokoiów wróciły przedwojenne meble rodziców. Okupację przetrwały w budynku nadleśnictwa.

Wszystko łączyło się tu z nieznanym, wyczekiwanym Tatusiem. To tu do Klosnowa, na pewno już wróci z tej wojny i po raz pierwszy zobaczy swojego synka. Będzie nas woził kajakiem po jeziorze, bo tak jak przed wojną kajak jego stałe jest jeszcze u rybaka. A nawet jego narty są w budynku gospodarczym! Maltretowaliśmy te narty na podwórku w śnieżne zimowe dni, aż oberwaliśmy wiązania. Ale wstyd..., co teraz będzie? Tatuś nie będzie mógł jeździć na nich, a może już jutro wróci? Na pewno będziemy mieli psa, a może nawet dwa, jak przed wojną?

Takie to było miejsce, że dosłownie całe powietrze nasycone było obecnością nieobecnego Tatusia, a Mamusia cudownie, obrazowo potrafiła opowiadać: *Tu Tatuś to, a tu Tatuś owo*. Więc nie tylko otoczenie domu, ale i okoliczne drogi, leśne ścieżki i zabudowania nadleśnictwa stawały się tłem dla Jego wyimaginowanej obecności.

POSZUKIWANIA

Po upływie roku wyjechaliśmy z Klosnowa. Zaczął się poznański okres naszego życia. Wiedza dla naszej Mamy była najwyższym dobrem. Z konsekwencją dążyła do realizacji wysoko stawianych sobie celów. Nie tylko dzieci posłała do szkoły muzycznej, ale sama zaczęła studiować anglistykę na Uniwersytecie Poznańskim. Egzamin magisterski zdała w grudniu 1951 roku.

Krótko po przyjeździe do Poznania, Mama wszczęła również intensywne poszukiwania naszego Taty. Mam przed sobą różnorakie pisma urzędowe, poszukiwanie świadków walczących w tym samym, co Tato zgrupowaniu, odpowiedzi władz gminnych z miejscowości położonych w rejonach poboju itp. Jedynie list pisany przez świadka - Aleksandra Frankiewicza, kierownika szkoły z Warlubia, pow. Świecie, dał informacje bezpośrednio dotyczące mojego Taty.

Warlubie, dn. 15.08.1946

(...) Przypominam sobie Pani męża (...) dlatego, że właśnie z zawodu był leśnikiem. Byłem z nim razem krótko, w jednym batalionie, w pewnej wsi pod Radomiem. Pani mąż był dowódcą plutonu, ja łącznikiem motocyklowym między dowództwami. Z pod Radomia rzucono nasze oddziały pod Zagnańsk-Wąchock (w rejonie autostrady Warszawa-Radom-Kielce). Od tej chwili z mężem Pani więcej się nie widziałem. Batalion, w którym Pani mąż pełnił służbę, walczył w rejonie miejscowości Gozd (cztery km na południe od Gozda), a w kilka dni później w rejonie miasteczka Iłża, (...) został rozбитo ponosząc dotkliwe straty, (...) niezliczone mogiły nieznanymi żołnierzami przykryty braci naszych, (...) po ciężkich zmaganiach z czołgami, nie byliśmy w stanie chować poległych, (...) nie będziemy w stanie dojść prawdy – polegli, czy żyją.

Dwa lata później, 27 kwietnia 1948 roku, p. Frankiewicz zeznawał w Sądzie Grodzkim w Nowem: *W chwili wybuchu wojny służyłem z Teodorem Sroczyńskim, którego dopiero poznałem, w jednej kompanii karabinów maszynowych ośrodka zapasowego 16 Pomorskiej Dywizji Piechoty. Batalion, w którym służył Teodor Sroczyński stoczył pierwszą walkę między Świętym Krzyżem, a Gost (Gozd). W walce tej nie brałem udziału, gdyż w tym czasie pełniłem funkcję łącznika (...). Po walce koledzy z tej kompanii, w której służył Sroczyński, opowiadali, że w walce tej poległ między innymi Teodor Sroczyński.*

Na podstawie tych zeznań Inwalidzka Komisja Rewizyjno-Lekarska przy Starostwie Powiatowym Poznańskim orzekła 11 grudnia 1948 roku o zaginięciu Teodora Sroczyńskiego: „bez własnej winy w związku przyczynowym ze służbą wojskową w Armii Polskiej na terenie i w czasie działań wojennych”. W te urzędowe sprawy nie byliśmy z bratem wtajemniczani. Jednak w tym okresie zachwiała się moja wiara w powrót Taty. Podczas wakacji u dziadka, usłyszałam, jak przekonywał Mamę, że nie powinna mieć oporów i wszcząć postępowanie o uznanie Taty za zmarłego, *niech te dzieci coś po Tochu dostaną*. Boże! O czym ten dziadzio mówi?! Mój dziadzio nie wierzy, że jego syn żyje?! To niemożliwe! Przecież moją Pierwszą Komunię ofiarowałam w intencji powrotu Tatusia!

Postanowienie o uznaniu Teodora Sroczyńskiego za zmarłego wydał Sąd Powiatowy w Chojnicach 10 marca 1951 roku.

POKOLENIA

Mama nigdy nie doczekała pielęgowanej w myślach chwili, w której ten latami oczekiwany mąż stanie przed nią, a ona z dumą przedstawi mu zdrowe, zadbane dzieci. Trud wychowania i wykształcenia nas dźwigała na własnych barkach. Przy całym zabieganiu, miała w sobie wiele radości i entuzjazmu. Nie bała się trudnych wyzwań, nie deliberowała, czy coś jest trudne, czy łatwe, tylko działała. Uczyła języka, głównie naukowców, gotowała, prała, sprawdzała nasze zadania szkolne, w zimowe wieczory biegła z nami na lodowisko do parku, lub znajdowała parę chwil, by przeczytać nam fragment jakiejś pięknej książki. My do łóżek, Mamusia do biurka. Nocami, dalszy ciąg jej pracy zarobkowej, żmudne tłumaczenia prac naukowych.

Brata i moje życie zawodowe odbiegło daleko od zawodów naszych rodziców. Brat, bardzo utalentowany muzycznie, już jako student Wyższej Szkoły Muzycznej w Poznaniu, koncertował na altówce i jako jedyny wówczas w Polsce, na violi d'amore. Był koncertmistrzem grupy altówek w Teatrze Wielkim w Warszawie, w Teheranie, w Malmö, członkiem renomowanych polskich kwartetów smyczkowych, kilkakrotnie dziekanem Wydziału Instrumentalnego Akademii Muzycznej w Warszawie, dwukrotnie pełnił funkcję prorektora tej uczelni. 10 stycznia 1992 roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Wałęsa nadał mu tytuł profesora.

Ja ukończyłam Fizykę na Uniwersytecie Poznańskim i zaczęłam pracę jako... muzyk kontrabasista w Operze Poznańskiej kontynuując studia muzyczne w Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu. Potem, przez siedem lat między próbami a przedstawieniami w Operze uczyłam fizyki w liceum ogólnokształcącym. Następnie grałam w orkiestrze operowej w Teheranie, w filharmonii w Neubrandenburgu (NRD) i znowu w orkiestrze Opery Poznańskiej, gdzie zakończyłam moją 44-letnią pracę zawodową.

Wnukami Teodora Sroczyńskiego są: mój syn Błażej Dymaczewski – mgr inż. mechanik, dzieci mojego brata: Błażej Piotr Sroczyński – mgr sztuki, skrzypek, dyrygent, Paweł Sroczyński – mgr filologii nowożytnej, germanista oraz Anna Rozłucka z domu Sroczyńska – mgr kulturoznawstwa, amerykanistka.

PAMIĘĆ

Nazwisko Taty znajduje się na dwóch tablicach upamiętniających ludzi, którzy w czasie II wojny światowej oddali życie za Ojczyznę. Jedna jest w Liceum Ogólnokształcącym w Jarocinie, gdzie Tato zdawał maturę, druga poświęcona pamięci leśników, absolwentów i studentów Uniwersytetu Poznańskiego w Collegium Cieszkowskich na Golęcinie w Poznaniu. Nie ma grobu naszego Taty. Pod poznańską tablicą składamy kwiaty w dniu Wszystkich Świętych. Również 1 września, w rocznicę wybuchu II wojny światowej, od wielu już lat zanoszę pod tę tablicę bukiet Tacie, czcząc jego bohaterską śmierć, a drugi taki sam bukiet składałam na grobie mojej Mamy, czcząc jej bohaterskie życie.

Dużym zaskoczeniem dla mnie jest informacja internetowa, dotycząca mego Taty: (...) *pełnił służbę wojskową w 57 pp jako podporucznik rezerwy, zaginął w 1939 (...)* Czy to pomyłka? 57 pp to oddział 14 Wielkopolskiej DP Armii Poznań. Czy Tato dożył aż do rozwiązania części oddziałów Armii Prusy po klęsce pod Iłżą i walczył dalej w 57 pp, dzieląc tragiczne losy szlaku bojowego Armii Poznań? Przerażające...

Ile nie napłakałabym się przy grobach z napisami NN na cmentarzach żołnierzy Września 1939, to Tato na zawsze zostanie dla mnie młodym, radosnym, wysportowanym człowiekiem, który poluje, pływa kajakiem, jeździ na nartach, galopuje konno przy każdej bytności u rodziców w Sielcu, fotografuje, pomaga poszkodowanym dzikim zwierzętom, uczy się języka Kaszubów.

Krystyna Dymaczewska

Zdjęcia: archiwum Krystyny Dymaczewskiej